05332

Kursa wyższe dla kobiet
im. A. Franieckiego
w Krakowie Karmelicka 33

ATENEUM

VI

1904

Czerwiec 1904.

TREŚĆ.

I. DONATELLO SZTUKI POLSKIEJ przez *Cezarego Jellentę* . . 177

II. SYMFONIA PRAGNIENIA . . . „ *Sawitri* 185

III. PRZĘDZALNIA . . . . . „ *Stefana Wodzińskiego* 192

IV. KWARANTANNA . . . . . „ *Augusta Strindberga*. 200

V. NOC PŁOMIENI . . . . . „ *Leona Rygiera* . . . 208

VI. POEZYA . . . . . „ „ . . . 211

VII. LINIE HOFERA . . . . . „ *Jana Zarycza*. . . . 213

VIII. PRZEGLĄD MIESIĘCZNY 221

1. Upiory w Warszawie . . . „ *Z. J.*

2. Ryszard Strauss i Symphonia domestica . . . . . „ *Florestana*

IX. BIBLIOGRAFIA 242

ATENEUM.

WARSZAWA.

ROK II. TOM II. — ZESZYT VI.

CZERWIEC 1904.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 5 Ноября 1904 года.

К. 2594/61

Donatello sztuki polskiej.

II.

Takie oblicze Madonny tylko polak wyrzeźbić mógł. Tylko tam, gdzie była tradycya lub legenda mądrych i pięknych królowych, gdzie sadzano na tronie rzeczywistym lub wymarzonym w religijnej i historycznej ekstazie najwyższą doczesną mądrość monarchini, połączoną z największem pięknem, pięknem duchowem kobiety, niewiasty, mogły zajaśnieć tak wielkie dostojne czoła, okolone przebujnymi splotami włosów, i taka słodycz ust i policzków, taki uśmiech pogody i spokojnego majestatu.

A tak właśnie pojmował Matkę Boską Wit Stwosz. Mimo niezaprzeczone wpływy niemieckie, owszem, nawet w okresie, kiedy na dobre zadomowił się w Norymberdze i tam po raz drugi—z niemkinią—się ożenił, powstała owa Madonna „z domu Stwosza," która tak wygląda, jak gdyby do niej szkic malował w jakim okresie młodziutkiej naiwności mistrz najdostojniejszych głów kobiecych i najbardziej królewskich główek aniołów w kościele Maryackim — Jan Matejko. Być może, iż nalotem germańskim są owe przypulchne nieco policzki, owa domieszka krągłości dosytu — ale one nie mącą bynajmniej ogólnego wrażenia wspaniałości, i ani na chwilę nie zapomina się, że ta Matka, tak czule

obejmująca dłonią drobne ciałko swego Syna, jest zarazem Królową niebios. Jej wspaniała szata nietylko gwiazdami, któremi jest usiana, symbolizuje niebiosa, ale mówi o swem królowaniu pięknem i rytmem linij, których harmonijna prostota, i powaga i naturalność wymisternia się jeno z jednego boku pięknymi, obłocznie łagodnymi i swobodnymi konturami fałdów.

I również tylko w poczuciu albo w przeczuciu duchowego arystokratyzmu — artysta ten, który rzeźbił sarkofagi królów i książąt kościoła — dał Madonnie dłonie i palce wytworne, delikatne i ostentacyjnie, nawet za cenę pewnej umyślnej wystawności, pokazał cały przepych tych rąk, z których lewa podtrzymuje pięknie a nieznacznie i układa przewdzięcznie przód szaty.

A na jakiej pysznej szyi spoczywa ta dumnie dobrotliwa głowa i jak snadź przywykła do korony, którą dźwiga! Lekkiej gotyckiej korony, co jest poprostu naturalnym ciągiem dalszym, wrodzonem uwieńczeniem postaci.

Tak samo Wit Stwosz pojmuje Madonnę w wielu innych swych dziełach — w jednych mniej, w innych więcej bogarodzicowo — czasem nieco z mieszczańska, może wtedy, gdy wykonywał zamówienia dla drobnych kościołów w miasteczkach Bawaryi i gdy nadobre spoufalił się z niemieckiem życiem familijnem. A niekiedy znów — naodwrót — ową dostojność rysów przesadzał niemal a z nią i przepych spadających na ramiona kos i dystynkcyę dłoni. To widzimy w wypukłorzeźbie ołtarza w Szwabachu, przedstawiającej Boże narodzenie. Poczciwa, dobroduszna twarz Ś-go Józefa, przyglądającego się z latarką w ręku wesoło igrającemu Dzieciątku, — tendencyjnie kontrastuje z podniosiością rysów i szerokością czoła Dziewicy Matki. Dolna połowa twarzy jej aż harmonizować przestaje z górną, bo jest nad miarę artystyczną — rzekłbyś — uszczytniona i naznaczona światłem duchowem i mocą.

Ta sama nadproporcya, pragnąca snadź uwydatnić górność typu, wzmocniona jeszcze imponującymi łukami brwi — zastanawia w Madonnie z Grybowa (w Muzeum Narodowem w Krakowie). I to tembardziej, że tu już ani korony na głowie niema, ani zewnętrznych oznak królewskości, lecz raczej sielska anielskość, nietylko białość dziewicza, ale i prostacze dziewczęctwo, pokorne i wewnętrznego rozmodlenia pełne, trochę pokrewne Madonnom Murilla. To podobieństwo, oczywiście z przypadko

wej zbieżności widzenia płynące, uderza zwłaszcza w miedziorycie Wita Stwosza, na którym Madonna i Dzieciątko mają zamiast koron aureole, a szaty są obfite, więcej już renesansowo udrapowane w pełne okrągłe linie czasów Rafaela i późniejszych — Michała Anioła.

O tych fałdach bogatych, o tych całych falach układających się już na ziemi szat — możnaby powiedzieć dużo. Wypełniają one wszystkie wolne miejsca między figurami na płasko- i wypukłorzeźbach Stwosza. Snadź natura tego mistrza lubowała się w hojności teł, zasadniczo podnosiła skalę bogatego i szerokiego wykwintu i aż do rozrzutności szafowała drogiemi materyami.

I snadź też dłoń poruszała się giestami rozmachu i swobody, a nie stał na zawadzie materyał snycerski — drzewo. Patrząc na te niezliczone załamy i zagięcia odzieży, otaczające nogi Madonn, albo na te, jeszcze obfitsze, które okalają, niby całe kłęby obłoków, stopy Ś-go Jakóba, na innym miedziorycie, przedstawiającym ścięcie tego świętego — masz wrażenie, że widzisz, jak lekko i zamaszyście tnie rylec albo nóż w potężnej i wprawnej dłoni kunsztmistrza, jak jego fantazya zatacza kręgi i mnoży je do nieskończoności. W „Opłakiwaniu Chrystusa“ — inny miedzioryt — szaty niewiast wzdęte są i unoszą się w sposób niemal barokowy, i jeśli co ratuje ich tradycyę gotycką, to obok zarysów głównych, okrągłych — obfitość drobniejszych zagięć o liniach ostrych, wchodzących już w pewien akord z ostremi liniami w wycieńczonych obliczach, z wychudłymi i ogromnie wydłużonymi palcami rąk i nóg, lub z ostrołukowem żebrowaniem na sklepieniach izby. Na innym z miedziorytów: Dzieciątko Jezus siedzi na podłodze dość daleko od Matki, a jednak bawi się suknią Matki — tak jest długa i obfita. Gdyby te fałdy wyprostować — otrzymalibyśmy szaty wielkości bodaj teatralnej kurtyny.

Czasami te całe girlandy zgięć nabierają szczególnego znaczenia i wyższego artystycznego smaku. Gdy scena odgrywa się blizko niebios, wtedy szaty kilku działających osób stają się jakieś więcej jeszcze powiewne, obłoczyste i napowietrzne; łącząc się z sobą, tworzą jakoby rozbujane podściele z obłoków. Taki efekt napotykamy w „Chrystusie na górze Oliwnej,“ wypukłorzeźbie znajdującej się w Krakowie i w jej odmianie, stanowiącej część tryptyku w norymberskim kościele ś-go Sebalda i w wielu innych.

Ta fantazya była taką potrzebą i namiętnością Stwosza, że nie lę-

kała się nawet kamienia i jak słusznie Bertold Daun zwraca uwagę, została wymownie w tych jego dziełach, które wykuł dłutem, — znacznie mniej licznych.

Czyż wobec tej pełni temperamentu, mógł się ostać schemat gotycki? Oczywiście nie. Niema go właściwie w twarzach pojedyńczych Stwosza, u uczniów Chrystusowych, których głowy, ocienione wspaniałymi dyademami kędziorów a twarze sowitemi brodami, i niemasz w scenach zbiorowych. Znikła owa pewna sztywność i jednostajność figur we wklęsłościach łuków nad portalami, figur, skrępowanych wązkością miejsca, postaci ze ścian kościelnych i płyt kryptowych. Wszędzie tchnie ruch i wolność odgrywania ról, dosadność pochyleń i słaniań się, to właśnie, co niemcy nazywają „rozrzuceniem“, „niepohamowaniem“, a co jest rzetelnem, nieprzejednanem poczuciem życia i siły, wcielonych w ruch.

Jak pięknie i naturalnie klęczy i składa dłonie do modlitwy Chrystus na owych, tylko co wspomnianych górach Oliwnych, jak tam znakomicie śpią jego uczniowie, to wpół leżąc, to siedząc, jak lekko i wielko-ptasim lotem, anioł z nieba sfruwa z rozwianemi na wiatr szerokiemi wstęgami opończy! Lecz zamiast przytaczać pojedyńcze popisy tej żywotności, lepiej wspomnieć jeden zbiorowy — słynny różaniec, Muzeum norymberskiego. Okrągłe pole tego różańca, przywartego do tablicy, jest wypełnione popiersiami papieży i świętych, poniżej Chrystus, tronujący na dwu łukach tęczy; wszystko obwiedzione jest ramą czworokątną podłużną, a ta znów podzielona na tafle, przedstawiające, nieco na podobieństwo bramy chrzcielnicy florenckiej Ghibertiego, główne motywy Pisma świętego, począwszy od stworzenia Ewy z żebra Adamowego. Ruch ludzi wszędzie nieco groteskowy, komiczny, jak np. w Wypędzeniu z raju, gdzie Anioł zamierza się na gołego odwróconego Adama mieczem, jakby kijem lub rózgą, ale kompozycya wszędzie skończona, żywa, bajecznie zajmująca, ludna, rozkołysana pędem uczucia i myśli. To jest prawdziwie cudny gotyk widzeń i wierzeń naiwnych i pobożnych, ale gotyk szumiący odrodzeniem wszech passyj. I to jest *Ara coeli* — i to zasługuje, ażeby było wrotami nieba.

A już z prawdziwą lubością oddaje Stwosz wszelkie ruchy siły; ci, co władają narzędziem lub napadają bronią, są mu tematem jakoby najmilszym. A więc święty Józef, kiedy ogromnym świdrem ciesielskim wierci dziurę w desce albo toporem rąbie dyl; żołdacy, chwytający Zba-

wiciela na znak dany pocałunkiem Judasza — żołnierzy wogóle zawsze ubiera popolsku i polskie daje im twarze z sumiastym wąsem — żołnierze ci rzucają się skokiem tak gwałtownym, że zawisają prawie w powietrzu; oprawcy, ścinający głowę świętemu Jakóbowi ogromnym mieczem i t. p. To prawdziwy „magister mechanicorum“, jak brzmiał tytuł nadany Stwoszowi przez rajców Krakowa.

Jestto więc wirtuoz napięcia akcyi i ruchu dramatycznego. I jeszcze więcej: obejmuje z łatwością zdumiewającą całą nieskończoną skalę wyrazów twarzy i postawy, śmiech, urąganie, umizgi nieprzystojne, namaszczenie, poczciwość i dobroć starych ojców kościoła, uroczy wdzięk młodych świętych niewiast, cudny powab dzieweczek w koronach, jehowiczną powagę Boga Ojca, błogość bawiącego się dzieciątka, ciepło domowego ogniska, srogość w obliczu Zbigniewa Oleśnickiego, omdlewającą rozpacz Matki Bolesnej. A potem znów — również wielka skala typów i figur żywcem schwytanych, portretowanych.

Z podobnego materyału łatwo mogły powstać rzeczy rodzajowe, wyprzedzające szkołę dewocyi religijnej czy historycznej. W nieprzebranym skarbcu wrażeń, spostrzeżeń, w imponującej pamięci kształtów i wyrazów, kiełkowała skrycie inspiracya rzeźby, w której chodziłoby już tylko o dosadność postaci lub o świecki jakiś morał. Ta charakterystyczność i rodzajowość wciskała się zresztą nawalnie i w motywy święte, w opłotki, pejzaże, błonia i pastwiska, kędy porykuje bydełko i beczą jagnięta i szczeka pies-Burek (por. ołtarz w Bambergu). Wszelacy zabawni ludkowie to stali towarzysze Wita Stwosza — wprost swawoli nimi. Poznał snadź na rynku miejskim wesołą gawiedź kumotrów z wyrazistemi obliczami i ruchami i dalejże zaciągać ich na widzów i gapiów niesienia krzyża i t. p.

Ale oto grupa zupełnie i czysto świecka, sama sobie będąca celem: „Sędzia niesprawiedliwy“. Siedzi on na podwyższeniu, na grzbiecie jakiegoś fantastycznego zwierzo-ptaka, którego głowa z wielkim czaplim dziobem wyziera na lewo, — i trzyma wagę. Po jednej stronie żebrak, pokornie i błagalnie zgięty, z nadzieją, obawą i skargą w twarzy, po drugiej bogacz z ostrem, pysznem, wyzywającem spojrzeniem, z dłonią zapuszczoną w wielką kaletę: szala przechyla się na stronę bogacza — ot i wszystko.

Lecz, tu rodzajowość bardzo prędko gaśnie dla oczów i ani spostrzeżesz się, jak cię ujmuje piękno i inne, wyrafinowańsze, — kompozycya osnuta na bezwdzięku jest przepełniona wdziękiem. Ani na chwilę tendencya, przypowieść czy ironia, nie przyćmiewa artysty. Wypowiedział ją wprawdzie mocno i dobitnie, ale jakoby się jej tylko uczepił, ażeby puścić wodze swadzie wirtuoza i fantazyi estety. Odział sędziego i bogacza we wspaniałe togi o szerokich wyłogowych kołnierzach i zbytkownem sfałdowaniu, jak gdyby miał przed sobą nie jurystę i klienta, lecz Hansa Sachsa — wielkiego mieszczanina i narodowego poetę i jak gdyby tworzył nie przed laty czterystu, lecz właśnie dziś, napatrzywszy się dosyta śpiewakom — Meistersingerom na wagnerowskiej scenie. Jestto wręcz renesansowy wykwit rysunku, smaku i okazałości w tem, jak owi dwaj noszą swoje płaszcze i swoje czapki-berety na stylowych głowach i jak—bardziej pomnikowo i symbolicznie, niż miałko-rodzajowo—ilustrują sobą straszną i okrutną krzywość sądu.

Tu widać, jak nazwa „realistyczny“, nadawana Stwoszowi przez niemców, jest mało trafną i mało mówiącą. To nie realizm, to szczerość, prawda, bezpośredniość świata zewnętrznego i wrażliwość wyjątkowa na wszystkie głosy duszy, umiłowanie bujnego życia i czynu, ale też i polot i harmonia w ich opiewaniu. Trzymając się ziemi — widząc wszystkie rzeczy święte i nadziemskie w kształtach ludzi żywych, wziętych niemal z otoczenia — jak zresztą wszyscy szczerzy, nie zmanierowani artyści dawnych czasów, — rzucał ów upragniony złoty most między niebo a ziemię. I dzięki temu mógł się zdobyć na dzieła znakomite, pełne, wyrastające nad epokę i jej prawidła i zakony — a w ich liczbie na jedno arcydzieło, które powinno przetrwać wieki, już nietylko szacownością minionych dawno dni, nietylko piętnem starej, dobrodusznej, albo znów ekstatycznej religijności, nietylko szlachectwem pobożnej rzewności.

Mam na myśli krucyfiks z Muzeum germańskiego w Norymberdze. Tu mistrz jakgdyby skupił i wytężył całą swą dramatyczność i wzniósł się do majestatu wiekuistego, posągowego Bólu.

Głowa Chrystusa, na pierś pochylona, jeszcze nie opadła, jeszcze nie martwa, dźwiga ciężką koronę z powrozów, najeżonych cierniami.

Z pod niej spływają całkiem prostopadle bujne ciężkie włosy pysznymi harmonijnymi zwojami. Oblicze — przejmuje, przenika smutkiem, przeszywa wyrazem bólu i opuszczenia i cudną swą kształtnością. Jestto jakgdyby chwila, kiedy wargi zeschły i język stał się jak kołek drewniany, a usta zostały wpółotwarte odruchem, który chciałby znieczulić duszę na ten smak goryczy i suchości, policzki zaklęsłe, brwi namarszczone niedawnem pasowaniem się i męką. Może to właśnie chwila, kiedy jeden ze straży, tknięty litością w swem zatwardziałem sercu, podnosił na włóczni zwilżoną gąbkę do ust Ukrzyżowanego.

Choć ból tu ostry, piekący, ból jakoby czysto ziemski, ból ofiary dręczonej, ma on swoje najwyższe dostojeństwo w nadludzkiem pięknie głowy i twarzy, w spokojnej, cichej skamieniałości, w przecudnym rysunku, i tak dalekim jest od wszelkich naiwnot i parafiaństw rzemieślnika, któryby się odważył na wielki temat ze śmiałością i prostactwem plebańskiego szablonu. Nie patrząc na nikogo swemi tylko przymkniętemi, opuszczonemi oczyma — Syn Boży widzi jakoby i fascynuje dreszczowo srogim magnetyzmem wszechsieroctwa, wszechżałoby, wszechcierpienia.

Więc któż to jest Wit Stwosz dla nas, ludzi dzisiejszych?

Artysta, co był mało posłuszny wielmożnym wzorom panującej tradycyi i odchylił się od niej, party samą siłą swej odrębności i większej szerokości duszy.

Plastyk, co wiernym napozór będąc gotyckiemu gniazdu swej epoki, wyrwał się z jego objęć, ażeby ogarnąć więcej świata, więcej ognia, więcej tchu i powietrza — mocą jedynie swej samorodnej, rozprężonej i bogatej fantazyi.

Kunstmistrz, który zamiast naśladować innych, sam pociągnął za sobą innych i zmusił, aby go naśladowali i, jak własny jego syn, pożywiali się resztkami jego wielkopańskiej uczty.

Rzeźbiarz, malarz, rytownik, kamieniarz, jeden z wszystkoznawców Odrodzenia — który zbierał po świecie złoto i sławę — a choć obcym oddał pół życia — został, mimo wszystko i może mimo własną chęć i wiedzę, nieodrodnym synem dorodnej rasy, koronnej chwały, gorącego ducha, wolnego i płodnego animuszu.

A ponieważ nie znoszący kiełzna instynkt jego i ustrój dochował wiary rodzimemu duchowi i poraz pierwszy przewcielił go w kamień

i drzewo, tedy rzeczą jest naturalną, że cały, jak go wziąć i objąć, dałby się odnaleść w potomnych.

Sztuka polska zamało wie o tem, że ma w nim swego udarowanego od niebios antenata, po którym nie wzięła może artystycznej puścizny, tak jak się bierze zwykle duchowy spadek po blizkim, przez wszystkich znanym i pamiętanym przodku, w sposób przejrzysty i pochwytny,—lecz snuła i snuje jego wielki a misterny wątek o bujnej, śmiałej, niespokojnej zamaszystości i dojmującej cierpkości.

Jak Jan z Czarnolesia „księciem poetów“, tak ten jest księciem plastyków, Donatellem sztuki polskiej.

Cezary Jellenta.

Symfonia pragnienia.

Jam step, ogarnięty pragnienia pożarem,
Jam piekło, edeńskich hurysek jam harem.

Drży każdy nerw przeczuciem niepojętem,
Zgadując dzień w świtaniu,
Spiętrzona fala krwi mój mózg zalewa,
W żądz dzikiem, zchrypłem łkaniu.

Oślepła rozpacz beznadziejnie krzyczy...
Tnie maki na otawie
Kamieniem Dobra wyostrzona kosa:
Kraśnieją zbyt jaskrawie.

A biel szkarłatnej łuny znieść nie może —
Ta chłodna biel dobroci...
Jam step spękany: trawę zwęglą żary,
Zanim ją deszcz zwilgoci.

Jam żagiel, wieczyście od wichru szarpany,
Jam mewa, co muska szumiące mórz piany.

Zapiekłe moje wargi
O wodę źródło proszą,
Z głodowych susz czernieją,
Szaleją za rozkoszą.

Nad wasze ciche krzyże,
Nad męczeństw sarkofagi,
Wydźwignę urągliwie
Mej żądzy posąg nagi.

Udręczeń krzyk szalony
Tchnę w rezygnacyi ciszę,
I niechaj w was stłumione
Orkany rozkołysze.

Tak ciężko, duszno mi --
Tak cięży sennie głowa,
Tak nadmiar wrących sił ściśniętą pierś rozpiera...
Odurzające wonie przynoszą dziwne słowa,
Rozkoszne, niepojęte, silne — aż dech zamiera.

Ach, czemu tak w południe białe od żarów, parne,
Płyną w powiewach ciepłych westchnienia tuberozy —
Duszność tak cięży, gnie... Zgęszczam ją w chmury
[czarne.
W błyskawic koralowe owijam się powrozy

I do krwi ich splotami gorączkę ciała smagam,
Aż cichnie, ugaszona pokutnych mąk posoką,

I znowu się zapalą, i znów się w żądzę wzmagam,
I znów zasnuwam przestwór nawalnych chmur pomroką.

Tak ciężko, duszno mi...
Okropnym cierpię brakiem,
Dręczącym nieukojem wre, tętni krew młodzieńcza...
Chcę cudu! Niech z objawień ognistym spłonę krzakiem,
Lecz precz z wampirem mąk, co ssie mnie i wycieńcza!

Tak ciężko, duszno mi...
Obłędem tchną storczyki,
Oplotły ljany pragnień mój każdy nerw bezwładem.
W puszczy mej duszy łyszczą zielonem okiem żbiki,
Na żer czyhają... Ścieżką sarenki biegną stadem...

Tak ciężko, duszno mi...
Dojrzały drzew owoce,
Bajecznych, złotych drzew owoce rubinowe —
Opadu pragną... Płazem mej myśli staw rehoce,
Ścięły go w zastój zgnilizn wołania bezechowe...

Jam cisza bezbrzeżna, stłoczona i parna,
Rozpaczna, blizkością samumu ciężarna...

Ja pragnę, pragnę, pragnę!
Kość pęka, miąższ usycha,
Ni kropli rośnej niema
Dla mnie na dnie kielicha.
Powoje się stulają,
Ostróżka się zamyka,
Żar wyssał rosę z dzwonka,
Z konwalii i orlika.

Spękany grunt pod stopą,
Nad głową — krąg miedziany,
A z turni — hen, wysoko —
Mknie potok źwierciadlany.
A przed nim się pokładły
Potworne, straszne węże,
I nikt z śmiertelnych wody
Kryształnej nie dosięże.
Ja pragnę!
Krzyk szalony
Błękitnym wstrząśnie stropem,
Rozpali świat pożogą,
Zale wód potopem.
Ja pragnę!
Z mąk omdlewam,
W żar wichur się rozwiewam.
Ja pragnę — ocean mojego pragnienia
Opłynął ląd wszystek, świat cały ogarnia,
Przyjmuje w swe łono strumienie i rzeki,
W mej jednej męczarni — wszechświata męczarnia.
I wzbiera ocean wszystkiemi wodami,
I szumi bez końca zabitych żądz żalem,
I skargą okrętów, co na dnie butwieją...
Owija się mglistej tęsknoty woalem...
I szumi ocean, bez końca, bez końca...
Nad pianą perłową łka smutny krzyk mewy,
I milczy wiecznością tajemnic dal sina,
I ziemi śle tęsknic wieczystych powiewy...

O płyńcie tu do mnie! Otwieram wam łono,
Wy strugi i rzeki ludzkiego pragnienia!
Ja w piersi zawarłem mej ludzkość spragnioną,
Zawarłem jęk głodu ludzkiego istnienia.

We mnie — wędrowiec Sahary,
Rozbitek z wyspy bezludnej,
Co w oceanu bezmiary
Osamotnienia śle łkanie.
We mnie — przemęczeń rozpacze,
Mięśnie, przekrwione z wysiłku,
I nieukoje tułacze,
Cichej przystani tęsknota.
We mnie — zaduchy cieplarni,
Cisza znużona, co czeka,
Aż ją w orkany rozgwarni
Wyzwalająca męczarnia —
Wirch, co chce opaść w płaszczyzny,
Niż, spiętrzeń żądna wirchowych,
Spragniony żniwa łan żyzny,
Rana, zbliźnień prosząca —
Prostota, żądna przepychu,
Przepych, co szuka prostoty,
Lodowa martwota w mnichu,
Kipiący wulkan użycia...

Jam otchłań — bez dna i bez granic jej głębia,
W czeluściach lewiatan pragnienia się skłębia.
Gdzieś kwitnie czar...
W pomroce sinej boru,
Gdzie cisza śni, w mgły zadum upowita,
Gdy srebrną gędźbę niesie dech wieczoru,
Paproci kwiat zakwita...
Dąbrowa lśni, jaśnieje ciemny jar —
Gdzieś kwitnie czar...
Gdzieś płonie cud...
W słonecznej gloryi płonie,
I z szafirowych głębi na świat schodzi,

W objawień tęczach, w srebrnych gwiazd
[milionie,
Z perłowych pian wypływa w złotej łodzi —
W podziwie milkną, cichną fale wód —

Gdzieś płonie cud...
Gdzieś wzrasta moc.

Wypręża olbrzym ramię,
Lodowce dumnym rzutem z wirchów strąca,
Kamienne gór przegrody piersią łamie,
Omdlałą, senną ciszę tchem zamąca,
Zwalcza, rozdziera wiekuistą noc —

Gdzieś wzrasta moc...

Gdzieś kwitnie czar,
Gdzieś płonie cud,
Gdzieś wzrasta moc —
nie dla mnie!

Świat rzęzi w żądz spiekocie...
Świat zmienił się w dwie wargi,
W dwie wargi gigantyczne — z agatu i szafiru:
Niebo i ląd — i zawisł nad oceanem z kiru,
Szumiącym żałobnemi falami wieczne skargi,
I pije go bez końca, w zapamiętaniu, chciwie,
I pragnień swych ugasić nie może słoną falą —
Z niej ziemia wchłania li jałowe, słone szkliwie,
A niebo — czyste łzy, co znów się wykrysztalą
I spadną cudotwórczym, ożywczym, jasnym zdrojem
Na spiekłą ziemi pierś i zwilżą ją litośnie,
Aż zcichnie chora pierś, tętniąca nieukojem,
Uśmiechem dziękczynienia rozkwitnie w krótkiej wiośnie.

Ja mam czoło znaczone nieukoju stygmatem,
Bezruch stawu zwalczyłem — mknę kryształnym
[potokiem —
Czystej bieli pożądam — moim całym szkarłatem,
Złotej jaśni pożądam — moim całym pomrokiem!

Ja jestem dni nowych świtanie zaranne,
Ja jestem pragnienie nieludzkie, orkanne!

Sawitri.

Przędzalnia.

Pracowaliśmy wszyscy w przędzalni.

Grupa, do której należałem, stłoczoną była w ogromnej izbie — jednej z niezmiernej, niewiadomej ilości, stanowiących całość gmachu fabrycznego. Żaden z nas nie miał dokładnego pojęcia o wszystkich schówkach i zakamarkach, choćby tylko naszego oddziału, gdyż mimo obfitego względnie oświetlenia, w wielu punktach, a zwłaszcza na przypuszczalnych krańcach i po kątach zalegały gęste cienie, kołyszące się na kształt leniwych i groźnych mgławic niepewności.

Więc mimo porozpalanych tu i owdzie ognisk, smolnych łuczyw, elektrycznych lamp i wszelkich innych możebnych sztucznych słońc i gwiazd, mieliśmy ciągle wrażenie oddychania zabójczym mrokiem nocy...

Tak też bo i było.

Słońca nie widzieliśmy nigdy. Izba nasza nie miała okien; natomiast gdzieniegdzie na ścianach porobiono niezłe nawet na pierwszy rzut oka ich imitacye. Poodbijany miejscami tynk i powykruszane cegły, stwierdzały prawdziwość krążących między nami legendowych podań, iż zdarzali się zuchwali ciekawscy, którzy próbowali na własną rękę i niezależnie, a nawet prawdopodobnie wbrew woli administracyi fabrycznej, powybijać w murach okna. Kończyło się to albo sromotnem

fiaskiem (mury były stare i na podziw trwałe), lub też trafiano tylko do izb innych wydziałów, gdzie o słońcu również mało co kto wiedział Mówiono, co prawda, iż byli tacy, którym udawało się wybić dziurę po za obręb gmachu, ale ci widzieli przed sobą podobnież tylko noc, lub też jakieś zupełnie niezrozumiałe dla nich błyski i lśnienia (może to nie były wogóle światła), o których woleli wcale nie mówić, a w każdym razie nie twierdzili na pewno, że to było słońce. Wogóle, w gromadzie naszej powszechnie utrzymywało się i utrwalało mniemanie, że słońce zapewne nie istnieje wcale, a odnośne słowo jest pustym dźwiękiem, któremu żadna znana ani nie znana egzystencya, jako źródło powstania, nie odpowiada.

Tak jak słońca, nie znaliśmy i nie widzieliśmy naszego pana, właściciela i założyciela fabryki; — z administracyą zaś styczność nasza była prawie żadną, dorywczą i jakby wynikającą tylko z przypadku, — do tego stopnia, że pana jak i jego sztab, poczęliśmy uważać tylko za piękny, acz ciemny nieraz i zagadkowy myt, wylęgły w wyobraźni kilku niespokojnych marzycieli — wielbicieli piękna, i zasuszonych systematyków, nie mogących zgodzić się na jakąkolwiyk egzystencyę samorzutną, niezależną od schematu i ściśle zorganizowanej zależności.

Było nieraz wprost tak, jakby nad nami i wokoło nas nie było nikogo i niczego okrom nas samych, mrocznej otchłani izby naszej, pełgania licznych, lecz nie wystarczających żadną miarą świateł, i tych dalekich i zupełnie nieznanych nam kątów, pełnych pełzających i kłębiących się, obrzydliwych nieokreślonością i nieujętością ciemności.

Tymczasem była jeszcze tęsknota.

Tęsknota straszna, niewiadomo za czem, po czem i ku czemu, powstająca znagła, nie mająca żadnych, zda się, określonych przyczyn, dławiąca nam pierś wśród najsenniejszych chwil zapomnienia, w chwilach najradośniejszych oczadzeń szczęścia, tęsknota obłędna, pacząca każdy ruch, każdy obrót wrzeciona, rozżerająca serca i uśmiechy, przerdzawiająca krwawo każdą łzę, każde świeżo wysnute pasmo przędzy...

Tęsknota śmiertelna...

Tęsknota za czemś, czego się zupełnie nie znało, o czem się nawet nie wiedziało, czy wogóle istnieje i istnieć może...

Beznadziejne, śmiertelne wołanie ku niewiadomemu, nieziszczalnemu. I ono to może właśnie było nam jedynym, prawdziwym panem i rozkazem do szalonej pracy. To też wrzeciona warczały i szemrały w rozwirowanym pędzie, nie odpoczywając ani na chwilę. Wrzała praca ciągła, do wszelką miarę przekraczających wysiłków naprężona. Tem-

bardziej, że wrzeciono raz puszczone w ruch, nawet wówczas, gdy było pozornie bezczynnem i milkło, wciąż jeszcze snuło nić, może niewidzialną, lecz również istniejącą i ważną w skutkach, jak przędza wrzecion formalnie czynnych, nawet może więcej...

W jaki sposób każdy z nas dostawał się do przędzalni, doprawdy nie wiem. Prawdopodobnie zostawał wprost przysyłany przez administracyę.

Również nie wiem, czy uważane to było przez nią za awans, czy też jako rodzaj deportacyi, tembardziej, że w tej mierze wśród nas samych miały kurs bardzo rozmaite poglądy. Mniejsza o to! Tak czy owak, każdy znalazłszy się w naszym wydziale, puszczał w ruch wrzeciono i snuł. Odbywało się to w sposób dosyć prymitywny, acz nie pozbawiony pewnego oryginalnego wdzięku. Niejeden nawet zdobywał się na dosyć samodzielne i ciekawe pomysły w urządzaniu warsztatu. Poprostu zakładało się na trzpion serce, mózg, jakąś ambicyjkę, lub cokolwiekbądź innego w tym rodzaju, i kołowrotek poczynał warczeć. Niektórzy kombinowali swoje warsztaty, a tem samem i przędziwo, z kilku różnolitych szpulek.

Inni łączyli się w grupy, sądząc, że otrzymają nić trwalszą, a przynajmniej barwniejszą. Wielu, a zwłaszcza ci, którzy snuli szaro i podług zdawna utartych wzorów, byli zadowoleni ze swej pracy i wynagrodzenia. Inni, dzięki błyskotliwości swego przędziwa, potrafili nawet zyskiwać wpływy i głos i przewodzić w pewnych grupach.

Niejeden dzięki kunsztowności warsztatu lub sobie tylko właściwym sposobom przędzenia, zyskiwał długowieczną chwałę i obszerny rozgłos. Że jednakże administracya nasza miała dalekosiężne ramiona i wybitnie wysubtelniony słuch i wzrok, przeto ogólna praca układała się jakby mimowoli w ten sposób, aby ostateczne wyniki nie stawały nigdy w kolizyi z nieparagrafowanymi, coprawda, ani ogłaszanymi, lecz intuicyjnie przez nas odczuwanymi celami i żądaniami naszych niewidzialnych władz.

Pewnego razu zjawił się między nami młody chłopak, który, jak sądziliśmy, był tak jak i my wszyscy przysłany przez administracyę, jako jeden jeszcze pracownik.

Tymczasem przybysz zamiast wziąć się do budowy warsztatu, począł się rozglądać, gawędzić, stroić żarty i wogóle postępować jak ktoś, kto się czuje bardzo pewnym siebie, swego czasu, i nie słyszał nigdy o takich rzeczach, jak praca, obowiązek i troska.

Nareszcie gdy bezceremonialna naiwność jego zachowania się poczęła nam przeszkadzać w pracy, gdyż biegając ze śmiechem i piosnką

po izbie, potrącił kilka warsztatów, poplątał i porozrywał na kilku z nich przędzę, zwróciliśmy się do niego z wymówkami, a jeden ze starszych zapytał się go wprost, zkąd się tu wziął, po co przyszedł, i czy nie ma zamiaru, tak jak i my, postawić warsztatu. Na razie, wydawał się zdziwionym i jak gdyby nie rozumiał, w końcu jednakże roześmiał się swobodnie i odszedł.

„Warsztatu? Nie, — bo właściwie nie wiem, na co byłby mi potrzebny. Tkać sobie ubrania nie myślę, bo to, które mam, wystarcza mi. Pracować dla wynagrodzenia też nie będę, bo go nie potrzebuję, a przyszedłem tu tylko na krótko — jako gość — jestem przelotny ptak, amator włóczęgi. Zobaczę, a właściwie zobaczyłem już, jak tu u was jest, i co rychlej umknę, wrócę do siebie, na wolną przestrzeń, na złoto-płonące słońce, — a potem znów przed siebie gdzie mnie oczy poniosą, i tak bez końca.“

Słońce... Złoto-płonące słońce!

Na dźwięk tego słowa wszyscyśmy się porwali z miejsc i gorączkowo poczęli wypytywać młodzieniaszka, gdzie ono jest, czy wogóle jest, jak wygląda i którędy doń iść. Chłopak wytrzeszczył oczy i nareszcie wybuchnął śmiechem. Czy wy kpicie? czyście poszaleli? Toż kilkadziesiąt kroków ztąd, wprost przed siebie, jeden ruch ręką, aby odgarnąć te stare płachty, któreście wkrąg porozwieszali i niezdarnie pomalowali na podobieństwo jakichś murów czy ścian, a skąpiecie się cali od pięt aż do czubka głowy w złotej kąpieli słonecznych blasków. Wy doprawdy chyba kpicie ze mnie? I wogóle nie pojmuję, czego wy w tej smrodliwej izbie tak uparcie siedzicie i koło waszych śmiesznych kółek marnujecie czas. Wówczas myśmy wybuchnęli śmiechem, a kilku więcej złośliwych, przybierając proszący ton i giesty, poczęło mówić: Prowadź nas, wolny wędrowcze! pokaż nam twoje złociste kąpiele, kwietne, pachnące łąki i szerokie przestrzenie. Wówczas z pogardliwem wzruszeniem ramion zwrócił się ku mniemanym płachtom, z giestem, jakby je chciał odsunąć.

Zuchwała dłoń uderzyła bezsilnie w milczącą, niewzruszoną ścianę, wówczas zwrócił się ku innemu punktowi. Wszędzie to samo. A kiedy obłąkany strachem i zdumieniem zwrócił na nas wylęknione oczy, w odpowiedzi usłyszał urągliwy śmiech i szydercze wołania: Cóż, przelotny ptaku? gdzież twoje słońce, wolny wędrowcze? którędy się doń idzie? Coś twarde są nieudolnie malowane płachty. Gdzie szczęśliwość świetlanych kąpieli? Czemuż ku nim nie idziesz, przecież to tylko kilkadziesiąt kroków? Gdzież twoje słońce?

A on pobladłemi w rozpacznem przerażeniu wargami szeptał tylko bezmyślnie: „Tam... tam jest słońce, tam widziałem napewno, znam je dokładnie... Olbrzymie, aż rażące blaskiem, przewspaniałe, królewskie słońce życia... jest... przecież wiem... widziałem je tak, jak was...“ „Ale gdzież? pokaż je, przynajmniej wskaż gdzie?“

„Tam... tam...“

„Ale gdzie jest owo twoje „tam“?

Twarz mu się skurczyła w napięciu bolesnego skupienia i zdławionym szeptem, zająkując się, bełkotał: „Tam, ja nie wiem, zresztą to przecież proste — jakżeż to wam określić? poprostu... Tam!“

Schwyciwszy się za głowę, przypadł do ziemi i zaniósł się rozpaczliwem łkaniem. Po niejakim czasie uspokoił się zupełnie, twarz tylko miał bladą, oczy niezmiernie pogłębione, nader smutne i z natężeniem wpatrzone w przewleczone tumanami zakąty naszej izby. Na ustach przystygł mu bolesny uśmiech. Ja i znajdujący się w jego pobliżu słyszeliśmy jak bezdźwięcznie szeptał: „Podeszli mnie, zostałem haniebnie oszukany.“

Przędzalnia nasza jest czynną jak dawniej, powiększyła się tylko o jeden warsztat. Snuje się z niego nić przecudnej purpury, lśniąca chwilami jak roztopione złoto. Naciągnięta, dźwięczy niezmiernie czysto, i chcieliśmy używać jej na struny do naszych harf, ale okazała się za wysoka i za bolesna w tonie. My zaś humorów psuć sobie nie lubimy.

Właściciel świeżego warsztatu, ów młodzieniaszek, trzyma się na uboczu — widocznie czuje się wciąż obrażonym fiaskiem swego opowiadania o słońcu i naszemi drwinami — lub może rzeczywiście widział kiedyś słońce i nie może o niem zapomnieć.

W takim razie żal mi go bardzo... Dobrowolnie idzie w straszne objęcia groźnej pani — beznadziejnej tęsknoty.

Stefan Wodziński.

Opowiadanie.

Wówczas człowiek ten stary i zastygły począł mówić pod rytm kilku strun, które brzęczały cicho, jak dawne zamierzchłe sny wspomnień:

— Przed laty przyszli do mnie aniołowie i zbudzili mnie dotknięciem lilii, mówiąc:

„Powstań, Anerielu, synu słońca, a idź, którędy powiodą cię sługi Pańskie" — a jam wstał pełen snu jeszcze i udałem się za śladami piór ich strzelistych, co smugi jasne zostawiały na powietrzu, jako mruganie gwiazd wieczornych — a kiedy przebyliśmy pustynię onego kraju, udali się duchowie jaśni na wyżyny nadmorskie nagie i puste, a stanąwszy na nich, ukazali mi głębię bez granic i niebiosa nad nią ogromne, pełne chmur skłębionych i rzekli: oto kończy się kraina ludu twojego, i nie masz dalej nic oprócz wód i nieba — ale droga nie jest wgłąb — — ale przed się, albowiem tam, na dalekich brzegach słonecznych, których stąd żadne oko nie dojrzy, utajone jest szczęście twoje i tajemnica żywota.

Przeto idź, synu, naprzód i ufaj.

A we mnie zalękło się serce i rzekłem:

— Jakoż przez głębię chodzić będę?

A duchowie zajaśnieli jako dwa słońca i odpowiadając rzekli:

— U tego, który posłał nas, nic nie jest niepodobne.

I zamknąwszy oczy rzuciłem się w głębię.

I oto ujęli mnie synowie niebios skrzydlaci i w huraganie promieni przenieśli mnie przez otchłań.

A skorom się ocknął, nie było ich już koło mnie, a jam był jako w czarze malachitowej, w dolinie leśnej ogromnej, a kwiecia pełnej i woni czarownej, co się przelewała po powietrzu falami, jako melodya słodka i kojąca. A wówczas ukląkłem pośrodku łąki i dusza moja poczęła się modlić:

To była kraina mojego szczęścia i kraina tajemnicy żywota.

Wtenczas po onych łęgach zielonych i po kwieciu przyszła do mnie Ona.

Ta, której dusza mieszka w mem sercu. —

Byliśmy sami zupełnie a wokół nas rosły lilie — a nad nami zawieszało się słońce.

A ja wziąłem jej jasne, maleńkie ręce w swe dłonie i patrzałem w twarz, która była jak niebo, i kwieciem posypało się na nas, albowiem spostrzegli nas biali duchowie polni i uwieńczyli śpiewając gędźby weselne.

Wtenczas sfrunęły leciutko dwa płatki różane ust jej na spragnione, pokorne me wargi.

A słodki, straszliwy piorun przeszył mą duszę i stlił ją na popiół.

I wzięli mnie od Niej i z tego kraju ogniści duchowie skrzydlaci i przenieśli w huraganie promieni i błyskawic przez otchłań, i drżącego postawili wśród ruin, zgliszcz i popiołów onej ziemi.

I rzekł jeden z nich:

— Żegnaj nam, Anerielu, synu słońca — oto z woli Pana poznałeś szczęście swoje i tajemnicę żywota.

A drugi dodał:

— Tęsknij przeto i śpiewaj.

I podał mi lutnię.

Poczem odlecieli do nieba, skąd byli rodem. A ja jestem sam z mą lutnią i pieśnią, i nie masz człowieka, któryby wiedział, o czem ja śpiewam!...

Już wam nic więcej nie powiem.

I zamilkł, jakoby się zatrzasnęły drzwi starego grobowca — znać było, że żadne moce nie wywiodą zeń więcej.

Coraz niżej, coraz purpurowiej krwawiło się i chyliło słońce a słuchaczy przejął smutek, jak mrok idący chyłkiem a ciągle, i wielka tęsknota poczęła tulić im dusze jak żałosna, wierna oblubienica.

Antoni Gawiński.

Kwarantanna.

(Dokończenie).

Dziecię przyszło, i szczęście matki nie miało granic. Nuda znikła, mąż znowu odetchnął, ale należało to uczynić dyskretniej.

Dwoje przenikliwych oczu dostrzegło to, i dwa ostre spojrzenia mówiły: „myślisz, że będę przez dziecko do miejsca przykuta?“

Na trzeci dzień mała straciła urok nowości, i oddano ją piastunce. Potem zaczęło się sprowadzanie krawcowych. Wiedział już teraz, co go czeka...

Od tej chwili chodził jak skazany na śmierć i czekał tylko na wykonanie wyroku. W dwie torby podróżne spakował rzeczy i ukrył je w garderobie, gotów na dany znak do ucieczki.

Sygnał był dany we dwa dni po opuszczeniu łóżka. Ubrała się w nowy kostyum, tak jaskrawy krojem i barwami, że przypominał abażur. Wyszedł z nią, by się przejechać spacerem, i cierpiał niezmiernie, widząc jak ta, którą kocha, zwraca na siebie uwagę, która mu czyni ujmę.

Nawet paupry uliczne pokazywały sobie palcami wyelegantowaną damę...

Odtąd unikał wspólnych spacerów. Siedział w domu, przy dziecku, i ubolewał nad tem, że miał żonę śmieszną.

Następnym jej krokiem do wolności była ujeżdżalnia. Przez stajnię prowadzi droga do „towarzystwa“. Przy pomocy koni zawiera się w gór-

nych sferach znajomości. Konie i psy stanowią przejście do świata, zkąd przypatrują się z góry ciekawie, jak pieszy gmin uwija się na opylonym gościńcu.

Kto siedzi na grzbiecie konia, ma wzrostu sześć łokci zamiast trzech, i każdy przechodzień, chcąc niechcąc, musi głowę podnieść, aby go ujrzeć. Tak tedy, po przez stajnię do barona i porucznika...

Ich serca się znalazły, że zaś baron był człowiekiem bez skazy, więc stanowczo nie zgodził się przebywać szczebli gościa i przyjaciela domu. Z tego powodu pojechali razem, czyli że uciekli.

Mąż został sam z dzieckiem.

Baron wskoczył do pośpiesznego pociągu na stacyi Söderteljoe, gdzie umówione było spotkanie z nią.

Wszystko było doskonale obliczone, ażeby się znaleźli sami, ale los miał inne plany: wchodząc do przedziału, baron spostrzegł swą damę wciśniętą między obcych panów i panie, tak że dla niego miejsca nie było. Jeden rzut oka na sąsiednie przedziały wystarczył, ażeby objaśnić go, że i tam jest pełno. Zmuszony więc był stać w korytarzu. Złość wykrzywiła mu twarz, a kiedy zapragnął powitać ją tajemniczym i miłym uśmiechem, pokazał tylko kły, których dotychczas nigdy nie dostrzegała. Na domiar nędzy ubrał się dla niepoznaki po cywilnemu. I to było jej obcem; palto wiosenne nie było z ostatniego plonu. Kilka łagodnych ulew zeszłego lata sprawiło, że materyał zmarszczył się przy szwach, wskutek czego ubranie układało się w drobne, wodniste fale, jak źle naciągnięty żagiel. A że skrojone było według ostatniej mody „ze szwem na ramionach“, więc uwydatniało tem bardziej jego obwisłe plecy, które wydłużały szyję aż po same ręce i nadawały jej linie opłakane butelki półlitrowej.

Wściekłość oblewała go potem, na nosie osiadł mu fragment węgla — miała wielką ochotę zerwać się z miejsca, zdradzić swe incognito, zetrzeć czarny plasterek swą koronkową chusteczką, ale nie miała dość odwagi. On unikał jej spojrzenia z obawy, że się nie będzie podobał, stał tedy wciąż w korytarzu, odwrócony plecami i wpatrzony w okno.

Kiedy przybyli do Katrineholmu, wypadało zjeść obiad, o ile nie chcieli głodzić się do wieczora.

Tu właśnie należało okazać się mężczyzną i bohaterem, i złożyć ogniową próbę, albo przepaść. Z drżącemi łydkami i wzburzoną twarzą szedł za swą damą przez szyny, gdzie zapadał po kolana, kapelusz zjechał mu na tył głowy i tam pozostał, jak to zwykła była czynić jego czapka oficerska. Ale to, co wyglądało na kawalerską fantazyę przy uniformie, stawało się śmiesznem przy palcie i meloniku. Jednem słowem był to dla niego dzień feralny.

Wszedłszy do sali, wyglądali jakby się wewnętrznie z sobą porożnili, wzajem sobą pogardzali, jedno drugiego się wstydziło i jak gdyby pragnęli znajdować się zdala od siebie.

Nerwy jego rozprzęgły się do ostatka i nie były wstanie kierować jednym muskułem. Nie wiedząc, co czynić, pchał ją do stołu, mówiąc: „Spiesz się“! Stół był już osaczony przez podróżnych, cisnących się w nieładzie do półmisków. Baronowi udało się wyciągnąć rękę po talerz, ale gdy sięgnął po widelec, natknął się na rękę człowieka, którego chyba najmniej pragnął spotkać w podobnej chwili!... Był to major, jego zwierzchnik, jeden z sędziów...

W tej samej chwili rozszedł się szept po tłumie.

Poznano ich! On stał jak nagi w pokrzywach, szyja mu nabrzmiała, policzki pałały... Nie mogło mu się w głowie pomieścić, żeby spojrzenia ludzkie mogły przebijać jak kule — literalnie został rozstrzelanym i rozpadał się.

O swej damie nie myślał już zgoła, a tylko o majorze, o jego badaniu, o zniweczonej przyszłości.

Ale dama miała oczy i pojęła wszystko; odwróciła się tyłem do wszystkiego i wszystkich i wyszła. Wsiadła do innego przedziału próżnego. On podążył za nią i byli... wreszcie sami.

— Miłe, co? — zasyczał.

I walnął się w czoło.

— Żeby się dać wciągnąć w taką awanturę! Ach, ten major! Już po mojej karyerze!

Temat ten wałkowali na wsze strony aż do Linköping. Głód i pragnienie robiły swoje — było to coś okropnego.

Za Linköping czuli, że powstrzymywane dotychczas zarzuty wybuchnąć muszą — w sam raz przypomniał się mąż, i oboje rzucili się na niego. To była jego wina, taki idyota, taki tyran, taki dyabeł — wagneryanin — to on niezawodnie uprzedził majora, bez wątpienia.

— Tak, wiesz, może być — wtórowała kobieta z głębokiem przekonaniem.

— Może być? A ja ci powiadam, że na pewno — wykrzyknął baron. Spotykają się na giełdzie, gdzie razem spekulują akcyami... A wiesz, co mi się zdaje? ten nędznik nigdy cię nie kochał!

Kobieta zastanowiła się chwilę, ale czy to, że miłość męża nie ulegała wątpliwości, czy że potrzebne było do roli, którą odgrywała, ażeby mąż ją kochał, bo to znaczyło, że nie kochać jej było niepodobieństwem, dość, że ośmieliła się zauważyć:

— Nie, tu już stajesz się niesprawiedliwym. I poczuła się lepszą po wypowiedzeniu słówka na obronę swego wroga. Baron jednakże przyjął to jak wymówkę i zaczął nanowo:

— On kochał ciebie? On, który cię zamykał, do maneżu nie puszczał, on?...

Piorunochron tedy zrobił swoje, a nadto groził rzucaniem na bok błysków w sposób uśmierzający. Podjęto tedy nowy wątek: kwestyę posiłku. Ponieważ ta miała się rozwiązać dopiero w Nasjo, należało jej zaniechać na razie, albowiem do Nasjo było jeszcze pół dnia jazdy.

Wyprowadzona zupełnie z równowagi, rozstrojona kobieta straciła władzę odporności wobec rozsadzającego ją nawału uczuć i myśli i wyrwała się z zapytaniem, co też porabia jej dziecina. Pan Baron odpowiedział na to ziewnięciem, które przepołowiło jego oblicze, niby rozpłatane jabłko rumiane, odkrywając jamę ustną aż do małego języczka, przyczem tylne trzonowe zęby wydawały się pestkami. Następnie usiadł po turecku, zrobił tułowiem obrót umiejętny i — znalazł się w pozycyi leżącej. Przypominając sobie, że wypadałoby wobec tak niestosownego zachowania powiedzieć coś uprzejmego, rzekł ziewając:

— Wybacz, ale jestem tak śpiący.

Wkrótce usnął. Po chwili chrapał. Uwolniona już teraz z pod wpływu jego spojrzeń i słów, opamiętała się nanowo i mogła już zdawać sobie sprawę, kim był jej towarzysz podróży. Porównania wnet same się nastręczyły. Tak się jej mąż nigdy nie zachowywał, był dżentlemanem w porównaniu z tym człowiekiem, przytem zawsze dobrze ubrany!

Baron, który dnia poprzedniego wypił był sporo ponczu, zaczął się pocić i zalatywało od niego octem. Stajnią pachniał zawsze...

Wyszła na korytarz, otworzyła okno, i jakby wyzwolona z zaklęcia, ujrzała cały ogrom swej straty, całą grozę położenia. Wobec przebiegającego obrazu wiosennego, jeziora otoczonego olszyną i chatki, przypomniała sobie nadzieję pobytu na wsi z małą... I wybuchła płaczem, chciała wyskoczyć oknem, ale ją zatrzymano... Długo tupała noga-

mi, jakby chciała pociąg wstrzymać i zmusić go do cofnięcia się wstecz. Tymczasem wciąż rozlegało się chrapanie, niby z chlewa w chwili rzucania karmi świniom... I dla tego... błazna porzuciła miły dom, śliczne dzieciątko i męża.

Chrapanie ustało, i baron puścił w ruch odnowione władze myślowe, aby się w sytuacyi rozejrzeć i nad przyszłością zastanowić. Smutnym on stać się nie mógł, ale zato wpadł w złość, ujrzawszy chusteczkę przy oczach młodej kobiety, i uznał to za osobistą zniewagę. Kłótnia jednakże była nudną i nieprzyjemną, więc przybierając minę stajenną z pieszczotą, stosowaną do koni, to jest szczypnięciem w szyję, mlasnął:

— Rozweselże się, Majo!

Dwa nastroje tak dalekie od siebie, zetknąwszy się, odpadły gwałtownie, jakby siekierą przerąbane. Nastąpiła śmiertelna cisza. Nie byli już jedną istotą, ale dwiema osobami, nieodwołalnie rozdzielonemi nazawsze.

Jeszcze pół dnia w smętnej nudzie, w ciemności i z ciągłem przesiadaniem,—nareszcie znaleźli się w Kopenhadze.

Tam nikt ich nie znał i natarczywym wzrokiem nie gonił.

W sali jadalnej ona zaczęła strzelać rakietami oczów, jak on to nazywał, po wszystkich zgromadzonych, tak, że baron, zwracając się do niej, widział jej profil jedynie. Zgniewało go to w końcu i trącił ją pod stołem w nogę. Wtedy ona odwróciwszy się, zaapelowała spojrzeniem do gości — nie mogła na niego patrzyć — tak był jej wstrętnym.

W pokoju hotelowym nastąpiło odkorkowanie butelki z wzajemnemi oskarżeniami... Jego zmarnowana karyera była jej winą... utrata domu i dziecka to jego wina...

Trwało to do północy, póki się sen nad nimi nie zmiłował.

Nazajutrz siedzieli przy kawie w takiej ciszy, że strach było patrzyć. Myślała o swej poślubnej podróży, o podobieństwie sytuacyi. Nie mieli sobie nic do powiedzenia; on był równie nudny, jak jej mąż. Jedzenie żuli na sucho, jedno wstydziło się jeść wobec drugiego.

Czuli wzajemną swą nienawiść i zatruwali się jadem nerwów.

Wreszcie przyszło wyzwolenie. Szwajcar podał telegram do barona. Otworzył i w mig przeczytał. Zaczął się zastanawiać, rzucił badawczy wzrok na wroga, a po chwili odezwał się:

— Pułkownik mnie wzywa!

— I myślisz mnie tu zostawić?

Minęła sekunda i zmienił zamiar.

— Nie, powrócimy razem.

Wyklecił naprędce jakiś plan i rzekł:

— Pożeglujemy do Landskrony, tam nikt cię nie zna i poczekasz na mnie.

Jazda z żaglem pachniała jakąś przygodą i bohaterskością, więc wszystkie wątpliwości narazie znikły.

Zapaliła się, zagrzała i jego i czemprędzej spakowali rzeczy.

Już to samo, że miał ją bodaj na krótszą chwilę opuścić, dodało mu nowej chęci do życia. Więc po kilku godzinach siedział w wynajętej łodzi z swoją ukochaną przy żaglu i odbił od brzegu, niby rozbójnik morski ze swą lubą, na wody, szumnie, zuchwale, pysznie!

Dla ukrycia celu podróży, powiedział właścicielowi łodzi tylko o wycieczce na Zund, w istocie zaś postanowił z Landskrony wysłać telegram i zapłatę i wyprawić łódź z powrotem pod opieką jakiego parowca.

Kiedy odbijali od przystani, właściciel łodzi przyglądał się ich manewrowaniu. A gdy zauważył, że kierują się na wyspę Hwen, zawołał, zwinąwszy dłoń w trąbkę:

— Tylko nie zablizko Hwenu!

I jeszcze jakieś słowa, które wiatr rozwiał.

— Czemu nie na Hwen? — głośno zapytał baron. — Przecie tam wybrzeże łagodne i niema skał podwodnych.

— Tak, ale jeśli on ostrzega, to musi mieć ku temu przyczynę — zauważyła.

— Nie pleć! Uważaj lepiej na żagiel, rozumiesz!

Wiatr był cichy, targał żaglami, a że łódź była spora i przestrzeń pomiędzy sterem a żaglem znaczna, więc można było nie silić się na rozmowę, co było dla barona wielką ulgą. Prąd niósł ku wyspie Hwen, czego zrazu nie zauważyli. Naraz kobieta zawołała:

— Nie kierujże na Hwen!...

— Milcz! — wrzasnął baron i zaczął lawirować.

Po jakiej godzinie raźnej jazdy, dostrzegli wyniosłości białej wyspy, a potem jeszcze jedno lekkie naciśnienie steru, i ujrzeli przed sobą Landskronę, leżącą bardziej ku północy.

— Jesteśmy uratowani — wykrzyknął sternik i zapalił cygaro.

W tej samej chwili od strony Hwenu wykwitł mały stateczek, kierujący się wprost na nich.

— Cóż to za statek? — zapytała.

— To celnicy — odparł baron, który był na morzu jak u siebie w domu.

Wtem parowczyk wywiesił żółtą flagę i gwizdnął.

— To nie nas się tyczy — zauważył baron, nie zbaczając ze swej drogi.

Ale parowczyk lawirował precz, sygnały dawał flagą, raz po raz gwiżdżąc, jakby na alarm. Wreszcie podwoił swą szybkość.

Wówczas baron zerwał się dziko od steru, jak gdyby zamierzał rzucić się w morze. Jakieś wspomnienie o wybuchu cholery w Hamburgu zamajaczyło w nim i wykrzyknął:

— To kwarantanna! Trzy dni! Jesteśmy zgubieni!

Po chwili siedział u steru, znowu jął rozpaczliwie żeglować w stronę Zundu.

Ale pogoń trwała nie długo. Parowiec niebawem zrównał się z żaglówką i wziął ją do niewoli.

ᔓ ᔓ ᔓ ᔓ ᔓ ᔓ ᔓ ᔓ ᔓ ᔓ ᔓ ᔓ ᔓ ᔓ ᔓ

Cały mądrze obmyślany plan uniknienia spojrzeń natrętnych wziął w łeb, i przy wjeździe do przystani hweńskiej, nieszczęsnych przyjęła salwami ironicznego śmiechu i oklasków publiczność miejscowa, przyglądająca się tej pogoni z mostu i nie wiedząca kto zacz nadjeżdża. Ale męka pojmanych była stokroć okropniejszą niż przypuszczali tamci, — w okrzykach i śmiechu widzieli drwiny z swej nieudanej przygody miłosnej.

Na domiar nieszczęścia baron ciężko obraził urzędnika kwarantanny, zwymyślawszy go na pokładzie parowca.

Nie bawiono się tedy w żadne skrupuły, lecz postąpiono jak z każdym podejrzanym, przybyłym z miejsc dotkniętych cholerą.

W obawie, że ich incognito prędzej czy później musi być zdradzone, błąkali się z kąta w kąt jak struci, w nieustannym lęku, że oto za chwilę zostaną zdemaskowani.

Nikt by nie zniósł opisu tej trzydniowej Kalwaryi. Tyle tylko wiadomo, że pierwszego dnia ona płakała za dzieckiem, on zaś wałęsał się po wyspie. Na drugi dzień opiewała niezwykłe zalety swego męża, ze-

stawiając je z wstrętnemi wadami kochanka. Na trzeci dzień przeklinała swego uwodziciela; a gdy w końcu nazwała go idyotą za to, że nie usłuchał przestrogi właściciela łodzi i jej próśb, żeby stronił od Hwenu — uderzył ją w twarz...

Na czwarty dzień byli w rzeczy samej poznani, a gazety obwieściły ich nazwiska.

Wówczas poszli ukryć się ze swoim wstydem w górskich parowach. A gdy w końcu pojawiły się dwa parowce, żeby zabrać nieszczęsną parę, każde z nich wsiadło na inny pokład.

I od tego dnia już się nie widzieli nigdy i nie znali nigdy.

August Strindberg.

Tłómaczyła E. L.

Noc płomieni.

Bajecznej nocy niespokojne dreszcze
Idą przez senne, leniwe powietrze –
Blade powoje, od ust chorych bledsze,
Próżno wołają: Jeszcze – jeszcze – jeszcze!

— Idzie to straszne, idzie to złowieszcze,
Co z serca pyły najwonniejsze zetrze...
Blade powoje, od ust chorych bledsze
Próżno wołają: Jeszcze – jeszcze – jeszcze – !

JA.

Kto ci dał moc, o ziemio –
Kto ci dał moc i prawo
Płomienia chłostą krwawą,
Lwy budzić, które drzemią.

Klątw moich nie oniemią
Twe sny pijaną wrzawą – –

Kursa wyższe dla kobiet
im. A. Baranieckiego
w Krakowie Karmelicka 3
209

Kto ci dał moc i prawo,
Kto ci dał moc, o ziemio — ?

NOC.

Milcz... Milcz... Różane kuszcze
Zażegły trybularze...
Przed moich bóstw ołtarze
Szalone dążą tłuszcze...

Ja lwy na tłum wypuszczę —
Na strzępy szarpąć każę!...
Milcz... Milcz... Różane kuszcze
Zażegły trybularze...

JA.

O nocy potworna, dzika,
O nocy — Herodyado!...
Nie patrz tak twarzą swą bladą — —
Kto usta moje zamyka? — — —

W krew moją płomień już wnika —
I mnie ujęłaś swą zdradą...
O nocy potworna, dzika —
O nocy — Herodyado!...

NOC.

Nie klnij mnie, potępieńcze,
Nie klnij swojej królowej —
Z ciernia mój wian godowy:
Jak ty — i ja się męczę...

Bladą twą skroń uwieńczę,
Utrefię włos twój płowy...
Nie klnij mnie, potępieńcze,
Nie klnij swojej królowej! — — —

*

Gaj się ożywia — gwiazdy błyszczą w górze —
A każda gwiazda — jest jak oko złote —
Każda mię wabi na słodką pieszczotę...
Ja w bezwstyd patrzę — — i oczu nie mrużę...

Poezya.

Widzę ją dzisiaj znów — o lwa opartą —
Z orłem na hełmie — z mieczem w silnej dłoni — —
Widzę, jak stoi — niestrudzona wartą,
Co się podłości chyłkiem zbliżyć broni.
Pierś nieokrytą ma, nagą — otwartą
Na grot zdradziecki, co gdzieś w mrokach dzwoni —
I uśmiech wzgardy dla zatrutej strzały —
I oczy, które nigdy łez nie znały.

Widzę ją znowu. I gorzki smak życia
Warg mych pobladłych dzisiaj już nie pali —
I już nie szukam dumnego ukrycia,
Gdzieby z mych oczu słabi nie czytali
Smutku znużenia — Zwątpień głodne wycia
Głuszy mi śpiew szeroki morskiej fali —
A zamiast wężów — w blaskach sinej łuny
U stóp mych — kornie wiją się pioruny — —

Błogosławieństwo dniom, co idą ninie,
Jak wieszcze — każdy z słowem wielkiej treści —
Kwiaty za niemi płoną na ruinie,
Śpiew święty z świętej rodzi się boleści —

A jeśli serce pęka — to nie ginie,
Pęknięciem swojem tryumf słońca wieści —
I jest — jak granat — w gmach nocy rzucony,
Ognisty, warem młodej krwi czerwony.

Błogosławieństwo dniom, gdy Sfinks się budzi,
Spotkawszy oczy płomienne — człowieka! — —
Gdy czas daremnie dogonić się trudzi
Myśl, co mu w Wieczność ze szponów ucieka —
Kiedy ironia — darmo zapał studzi,
Gdy ból — napróżno zgasłe sny nawleka
Na nieskończony różaniec zwątpienia —
Błogosławieństwo dniom wszechodrodzenia!

Błogosławieństwo dniom, kiedy potęga,
Rosnąc wciąż — nie zna ukojeń dosytu,
A choć zenitu dumną głową sięga,
Do wyżyn tęskni, do wyżyn — z zenitu!...
Gdy dusza zgodnie do rydwanu wprzęga
Mękę wszechwiedzy — i obłęd zachwytu
I — już bez troski, gdzie jej cel i droga —
Szuka — bez wiary, a wierzy — bez Boga.

Precz, bladych lęków dygocący tłumie —
Precz: — — Zginąć musi, kto o przyszłość pyta —
Cóż wam odpowiedź? — zali ją zrozumie
Błogosławiący złud jarzmo najmita? —

...Jedna jest wiedza na wysokim tumie —
A na tej wieży — M u z a w gwiazdach czyta
Władzą, niebiosom i ziemi wydartą! — —
— — — — — — — — — — — —

Widzę ją dzisiaj znów — o lwa opartą.

Stefanowi Żeromskiemu
w hołdzie

Leon Rygier.

Linie Hofera.

VII.

Gdy wsłuchuję się w runiczne dźwięki, które na harfie mojej duszy wygrywa śmierć Mirskiego, uderza mnie jedna nuta ulgi. Jakkolwiek strasznie i cynicznie to brzmi, muszę wyznać przed sobą, że mi i po jego zgonie, jak ongi po jej zniknieniu lżej. Otwiera się przedemną prostsza droga samotności, a ostateczny cel mój: Wieczność, wydaje mi się nieprzesłonionym żadnemi mgłami ziemskich uczuć. To tak trudno, tak wściekle trudno rozrywać się na przyjaźnie i miłości, wtedy, gdy duch nieprzeparcie grawituje ku swemu wielkiemu przeznaczeniu — zaświatom. A dziś już niema dla mnie wątpliwości, że pod wszystkiemi ścieżkami moich ambicyj i ukochań — pod wszystkimi manowcami ziemskich zapałów — ściele się prosty gościniec, wyrocznie wiodący podziemnymi mrokami duszy, w czarnych warstwach podświadomości ku Nieznanemu.

Nowe przyjaźni i nowe związki? Do nich jużem nie zdolny. Mógłbym przylgnąć tylko do tych, co jak ja przeżyli tysiące lat, co są splątani, pokręceni i posupłani. Musielibyśmy objąć się misternemi siatkami swoich lian, jak stare, nadmiernie rozplenione i rozgałęzione pnącze, rosnące na jednem rumowisku zburzonych świątyń — albo nie zewrzeć się wcale.

Niekiedy w tych morskich ciszach opuszczenia i w tem zobojętnieniu na żywych ludzi, chłonie mnie jak czeluść, jak paszcza — straszliwa

próżnia. Wtedy zwracam się błyskawicowym zygzakiem myśli do nich, do umarłych i odrazu widzę ich wszystkich, słyszę i napawam się słodyczą ich istności. Potem uderza we mnie grom drugi, straszliwszy: świadomość swego złudzenia, aż wreszcie i poczucie nieprawdopodobieństwa tego faktu, że ich już niema. Tak mocno niebyt staje się bytem, tak stanowczo i pewno stwarzam ich, i taką niewymowną rozkosz sprawia mi obcowanie z nimi — że w końcu powiadam sobie: To nic, że nie istnieją realnie — objektywnie — istnieje dla mnie i taka egzystencya, nad którą władam jak król stworzenia, nie jest bynajmniej urojeniem, omanem, jest rzeczywistością, mogącą dawać szczęście.

A gdy jawa dzienna i wiatr zdarzeń potocznych zamąci mi bezlitośnie lub spłoszy widziadła — chwyta mnie w swe tygrysie szpony rozpacz, czasami w masce jakiejś niecierpliwości, gniewu, że nie mogę wywalić fatalnych wrót, za któremi się skryli.

A potem zdruzgotany żalem — błagam i modlę się, żeby przyszli i stanęli przy mnie.

Wtedy noce moje są częściowem ziszczeniem tych marzeń — sny łamią się i gmatwają się w linię szukania i utraty, nadziei i rozczarowania w rytmy jakiegoś sięgania po coś i opadania rąk pustem omdleniem bezowocnego wysiłku.

Lecz zazwyczaj z bezdni przeszłości i wspomnień wynurzają się inne widma, zgoła nie te, za któremi tęskniłem. Dusza, choć ją o to nie prosiłem, odwiedza takie katakumby drogich, wysokich cieniów, o których na razie zapomniałem. Tajemniczy mag, władający światem jawy sennej, wprowadza mię w pobliże najgodniejszych, najszlachetniejszych widm — a ja błądzę wśród nich i wzywam do nowego, potężnego żywota.

...Pochylam się i nadzwyczajnym wysiłkiem ramion odsuwam marmurową płytę. Już odsunąłem. Za chwilę wionie na mnie pleśń grobu.

Dziwna jednak, marmur leży. Najwyraźniej w świecie odsunąłem go, nawet-em pokrwawił palce i czuję ból w plecach od wielkiego natężenia. Płyta lśni w świetle miliona gwiazd; padają na nią desenie gałęzi płaczącej brzozy i kołyszą się, drżą lekko. Cienie rozmawiają ze mną, kołyszą się, szepcą:

— Nie puścimy cię! grób jest nasz, oplatamy go misternie swą siatką, strzeżemy — i nie puścimy, nie!

Wściekłość mnie porywa. Wstaję z klęczek i choć dycham ze zmęczenia, przechodzę do drugiego grobu. Płyta kamienna znacznie lżejsza i tak wystaje, że ją łatwo mogę podważyć. Podważam, kładę się na jej

krawędzi piersią, pcham i jak dźwignią podnoszę w górę szyją i ramionami.

Odwaliłem, padła przewrócona na drugą stronę dołu z głuchym jękiem.

Pod ziemią coś zapłakało.

Pochylam się nad grobem. Tablica marmurowa w tem samem miejscu szarzeje i lśni bladawo w poświacie gwiazd a spoczywa tak cicho, tak równo, szeroko i majestatycznie pochyło, jak dostojna para królewska w krypcie kościelnej, która śpi snem odwiecznym, zapomnianym.

Padam na wilgotny piasek bezwładnie. Przez chwilę cicho rzężę; chcę być nieczułym, jak głaz. Ogarnia mnie rzeźwiący chłód. Nie chce mi się wstać — jestem na miękiej pościeli. Nie widzę nic, nie czekam, nie skarżę się, nie przeklinam, jakiś raczej słodki niż gorzki bezwład mię ogarnia. Wciągam płucami świeżość traw i kwiatów. Przecież tu leżą stosy wieńców i ogromne wiązania lilij, habrów, wielkich rumianków, ciężkich kłosów żytnich i pszenicznych całe snopy. Jakżem mógł nie widzieć? Tu cała góra róż białych i herbacianych, girlandy z liści dębowych, korony z jodeł zasypały oba groby, piętrzą się na wysokość drzew.

Góry kwiecia rosną; rosną w nieskończoność. Są już tak wielkie, że niedługo dotykać będą nieba.

Góry kwiecia rosną, patrzą na mnie i szemrzą, jak gdyby coś wskazywały i objaśniały:

O! widzisz, tam głęboko, o tak, głęboko, o tak jeszcze głębiej, głębiej; o widzisz? jest nas jeszcze za mało. Odrzyj i ogołoć cały cmentarz z róż, oberwij wszystkie kaliny i dawaj je tutaj. Musimy rosnąć, rosnąć...

Znikło. Nie wiem kto je zwiał. Prawdopodobnie — chwila jawy. W rozszczepionej na kilka istności duszy mojej, jedna całkiem senna i widziadlana spotkała się na sekundę z drugą, półświadomą i na jej widok pierzchła. Rosnące góry znikły, nie wiem gdzie. Płyty marmurowe, zaklęcie ciche, spoczywają na swoich miejscach, zlekka bieląc się i kołysząc na tkaninie cieniów padających od rozpłakanych brzóz.

Rozpoczynam swą pracę na nowo. Podważam oporne wieka i odwalam jedno za drugiem. Odsuwam je dość daleko od grobów, pewny, że z wielkiej odległości nie wrócą.

Wzrok mój przebija ciemności, dociera do trumny... Już otwarta...

— On patrzy na mnie, patrzy zamkniętemi oczyma, ja zaś słucham jego wzroku, który przykrywają powieki i płaczę, płaczę, i łamię się płaczem własnym.

— No, wstań, wstań, błagam — pomogę ci, obejmij mnie za szyję, mocno, mocno. Dość śmierci, dość! Z tęsknoty za tobą umieram.

Czuję jego zimną rękę na swoich ramionach. Ostrożnie i delikatnie, jak gdybym niemowlę kładł do kołyski, wynoszę go z czarnego dołu i sadzam na ziemi, opieram mu głowę o pień brzozy płaczącej.

On zaś mówi ledwie dosłyszalnym szeptem:

— Czego mnie dręczysz. Czego spokój przerywasz? Nie dręcz. Wszystko skończone. Wszystko skończone.

Wszystko skończone — szumią brzozy.

I tamten, ów drugi, zmartwychwstał. Wiem, że ich pocieszę; przestaną skarżyć się. Mówi mi potęga mojego życia, że co raz wyrwało się śmierci, już do niej nie wróci. Jakto, przecież i ja chcę żyć! Przecie pokazały się zielone listki, cały zagaj. Jakże moglibyśmy nie patrzyć, nie widzieć, jak podrosną, jak swoje gałązki zapuszczą w powietrze, w przyszłość, w nieskończoność. Miliony ludzi mają być świadkami, miliony innych narodzą się i będą patrzyły na ich młodość, ich rozrost, ich rozmnażanie się w nowe, w nowe lasy, bory, puszcze, bezmiary plonu — a my pójdziemy pod czarne wieko.

Wiedziałem, że w ten sposób rozbudzę w nich ciekawość i ekstazę.

Patrzcie — oto i ja byłem umarły! A jednak wskrzesłem i rzucam promienie. Czasem strzaska mi piorun jaką gałąź, ale wypuszczam nową.

— Nie dręcz — mówił któryś z nich — nie przerywaj spoczynku. Wszystko skończone!

Wszystko skończone. Oto nie widzisz mojej twarzy, nie poznajesz? To przecie ja, ten sam, co szedł przez życie niezmęczony, nieulękły... Na każdy uśmiech zimnego rozsądku odpowiadałem nowym wybuchem twórczego ognia. Przypomnij sobie, ile światła nieciłem, byłem jak planeta — wszystko zgasło, ciemność większa niż przedtem. Nie poznajesz, nie pamiętasz? Ludzi karmiłem swoją duszą jak teraz ciałem — robactwo. Nikt nie wiedział, jakem sechł ich głodem... Nigdym nie pomyślał o sobie. Nie chciałem, ażeby wiedzieli, jak łamię się i krwawię dla nich. Nikt mi nie powie, żem się rozżalał, żem szukał szczęścia dla siebie, żem coś shańbił pragnieniem nagrody albo choćby wypoczynku; albo choćby kopca woniejących kwiatów na miedzy życia i wieczności...

Gdy tak mówił, leżał znowu w swym grobie, jak błękitnawa mara.

Głos jego brzmiał coraz boleśniej: Tyle krzyża na nic, na marne... Z siewu mojego nie zostało nic. Nic... Nie ci, których kochałem, temu

winni. Nie—kochali mnie i czuli dobrze, że istota moja ma swe korzenie w ich istocie. Nie—oni zburzyli dzieło moje...

— Wstań, na Boga, jesteś hartowny, nieugięty, nie tobie przystoi gnuśnieć i trupieszeć. Nauczyłeś się cierpieć, zniesiesz dużo, siły masz niezmierzone...

— Wszystko ma swój kres. Wszystko mieć musi swe granice — nawet męka.

Podbiegłem do drugiego: Leżał znowu w głębi ciemnego grobu. Twarz miał jasną jak od gloryi. Widziałem drobną postać karlika — olbrzyma. Widziałem siwiejącą brodę gnoma i oczy otwarte lecz pół ślepe. Śmiał się z siebie i ze mnie.

— Dobre nasze rachunki, aha? Pamiętasz: nie znosiłem radości ani swojej ani cudzej. Szukałem katuszy, nadstawiałem się oprawcom. I oto nie wytrzymałem. Wy mnie tam szukacie po całym globie a jam tutaj sobie spokojną kryjówkę znalazł; — sam, sam znalazłem. Szukajcie, niech myślą, że żyję, że po tem com widział, można jeszcze trwać. Ha! ha! ha! Wszystko na marne, wszystko przepadło! O i tamten, mój sąsiad, sam sobie barłożek usłał wygodny. Tu dobrze, nie widać, nie słychać, jak się w gruzy walą światy, którym byliśmy Atlasami.

Jestem — nie jestem. Widmo moje błądzi po świecie i szuka. I wy szukajcie, jeśliście jeszcze nie zapomnieli o tym, co patrzył tak długo na wasze stygnące dusze, aż sam zetlał na popiół.

— Więc i ja przy was legnę — krzyknąłem opętany — tu miejsca dosyć dla trzech!

— Ha! ha! ha! — rozległo się szyderczo z pod płyty marmurowej...

Znowu leżała z swym napisem, jak kojąca, biała dłoń na czole bladem od męczarni.

Teraz ujrzałem, jak w jasnowidzeniu, że ich wskrzesić muszę. Świętokradca, niepomny ich błagań, chciałem oddać życiu jego serce, jego najdroższą kroplę krwi? Z siłą odwalałem marmury kilka razy, wyłem i ryczałem, jak zwierz, schwytany przez żeleźce sideł. Złorzeczyłem gwiazdom, że tak drwiąco mrugały złotemi ślepiami na moje bezmocne pasowanie się, na mą pracę daremną, przeklętą, kamienną.

Białe tablice same, bez szelestu, niewiadomo jak i kiedy, kładły się nad ziejącymi dołami.

Ziemia walczyła ze mną.

Spotniały, rozskomlany jak pies, zbudziłem się.

...Więc to tylko sen, więc ja nie muszę już dźwigać wielkich kloców marmuru, aby one, żywe klątwy wieczności, wracały do płaczących mogił?

. . . . . .

Zostało mi dziwne wrażenie, jakbym miał piętno hańby na czole,
Leżę żałosny i słaby od ciężaru widzeń.

Nie chcieli mnie przyjąć. Marmurowi stróże cmentarza odpędzili mię od progów wieczności. A przecież tylko ja jeden wiem czym śmierć już kupił, czy nie. Tylko ja jeden wiem, jakem ranił sobie palce, kołacząc do jej furty. Nie bił-żem głową o mur? Nie łykałem słonych łez na widok Ziemi, wszetecznicy Arymana? Noce moje nie byłyż miotaniem się wściekłem związanego orła? Duszą proroka widziałem, jak huragan mknął nad światem wielką, czarną chmurą. Wskazywałem ją ludzkości. Byli ślepi, są ślepi. A ja muszę patrzyć za wszystkich, za wszystkich przeczuwać długą, nieskończoną, podbiegunową noc ducha.

Wołałem załodze: przygotujcie krzesiwa, porąbcie lasy, wydobądźcie z łona ziemi wszystką żartkość, ułóżcie stosy aż pod niebo — bo zbliża się zmierzch a po nim mrok zimny i nieskończony, nieprzebity, bo idzie noc— —

Ja—sternik smutnego okrętu, ściśniętego lodami o miliony mil od miejsca, gdzie rezyduje Bóg, łamałem dłonie, bo spływał grudzień wiekuistej pomroki. Nie słuchano mnie. A jam się zżerał w bezsilnej wściekłości Chciałem światłem swych oczów przeszyć ich wielkie, bydlęce źrenice żeby nareszcie widzieli. Płatałbym czaszki, ażeby w nie rzucić okruch złoty promienia — wyrywałbym serca, ażeby krwawiły przeczuciem: Rozpalonym prętem żgałbym po piętach, ażeby wstali z klęczek i biegli kłaść lasy i układać stosy aż pod obłoki, gnałbym ich tak, że zostawiały za sobą szkarłatny ślad krwi...

Nie mogłem, nie mogłem. Byłem bezsilny a przeczucie nocy bezdennej, olbrzymiego szlamowiska trupów zatruwało mi powietrze.

I szedłem z nimi nieodstępnie i — sam czy śród innych — widziałem je ciągłe — ja, sternik smutnego okrętu, ściśniętego lodami o miliony mil od tronu Boga...

. . . . . .

A teraz powtórnie zbudzony, znów słyszę siebie krzyczącego:
Mam prawo leżeć tam przy was! I mnie się spoczynek należy!
Słyszę jeszcze ich jadowity śmiech.

Obadwaj jednocześnie wskazywali ręką w tajemniczą stronę. A choć przytem nie rzekli i słówka, w widzeniu sennem padło mi na duszę rozumienie ich giestu, jak nagły zapach najświeższych róż; jakgdyby po za czasem i po za przestrzenią, w sposób czysto idealny, usłyszałem słowa, które były pewnie niewyłonioną mową ich ruchu.

Jedno z obliczy rozszczepionej duszy, najbardziej zbliżone do stanu jawy, jakieś bolesne wydzieranie się nad próg świadomości, szamocący się ku światłu zalążek przytomnej samowiedzy — wyczuwalnie dla mej *teraźniejszej* pamięci, to jest dla chwili po ocknieniu się,— starał się niedokształtowaną tę mowę uchwycić, ucieleśnić. Wreszcie udało mu się to. Póty nasłuchiwał i wczuwał się, aż dźwięki stały się słyszalnymi wyrazami. Nie były one dla mnie niespodzianką. Rozumiałem je przedtem, i nie pożądałem bynajmniej tego wcielenia, pragnęła go bez mej woli dusza sama dla siebie.

Były to wyrazy i było to pytanie nie tak bardzo dziwaczne:

A ona? A ona?

Jakiś śmieszny a przecież tak upokarzający morał — wydobyty jak rupieć z niemowlęctwa mojego sumienia.

Ona? — chyba nie ona. Jej już dawno nie ma.

We śnie przekonawszy ich w ten sposób ze zdumiewającą łatwością, jakgdyby chodziło o zerwanie jednej nici pajęczej i nawiązanie drugiej — czemprędzej podsunąłem ich domysłowi kogoś innego, zdaje mi się, że aż dwie — dwie figury *Rozmowy z sobą*.

Teraz przypominam dokładnie. Były to podarte strzępy wątka dawniejszych słów. Choć w swojem przekonaniu pilnowałem grobów — była taka chwila, żem widział ich, jako dwa wyniosłe złotobiałe cienie, w których światło wsączały się jakieś odległe brzaski purpurowe. Snuły się hen, w perspektywie tak dalekiej, że nie była widzialna, a jednak widziałem i patrzyłem na nich z zawiścią i podziwem.

— Idę za wami! — wołałem, wyciągając ramiona.

— A *ona?* a *ona?* Odpowiadali, pytając odwróconemi twarzami.

Szli na przełaj — na przełaj całej ziemi. Szukali skradzionych swoich skarbów, złupionych spichlerzów swojej duszy. Przeciskali się przez tłumy jarmarczne, ale ludzie nie czuli ich blizkości.

Ich cienie zszarzały i zpowszedniały. Duszę mą musnęła jakby złość, jakby pogarda dla ich szyderstw i wyroków. Jestem nanowo zrodzony, silny zdolnością do szczęścia. Zrzucam z siebie chłoszczące spojrzenie, jak skorpiony i depcę je — koszula Dejaniry spadła od jednego wstrząśnienia ramion.

A ona? A ona? Nagle zasłyszałem echo od stepów nieskończoności.

W głowie mojej zerwał się szum i zawirowały ogromne słupy splątanych myśli. Poprzez suchy chrzęst przewalającego się mrowia, poprzez trwogę skotłowanych uczuć, poprzez zamęt rozbitych na miazgę tęcz — słyszałem echo nieskończoności ciche, przenikające, żałobne, już nie urągliwe lecz drżące odwieczną, nieśmiertelną żałością. Wszystkie struny moich dawnych rozpaczy odezwały się nagle z poza mnie, od dalekich krańców, jednym cichym, świdrującym i rzucającym w niemoc i lęk — odgłosem.

W pracowni mojej wszystko zawarczało. Wszystko się zbuntowało i podżegało do czegoś; wszystko się domagało czegoś wyroczną siłą milczenia i bezruchu. Nieprzytomny, obejrzałem się dokoła, chwyciłem ciężki dwupudowy hantel i — pociemniało mi w oczach...

...Śród czarnej mgły, wyziewanej przez kipiącą krew mego mózgu, widziałem jak cudne dwie głowy z łoskotem toczyły się na środek pracowni.

Zerwałem się z wrzaskiem. Słyszałem jeszcze własne stękanie i gwałtownie przyspieszony oddech i czułem w kościach ból po jakiemś cudacznem wykrzywieniu i skurczeniu ciała. Obudzenie zaś i silne skierowanie wzroku, były dziełem jednego mgnienia — spojrzałem więc ku „Rozmowie“ z szybkością śmiertelnej trwogi. Głowy obu kobiet, w świetle przyćmionem zieloną płachtą satynową, zakrywającą pracowniane okno, ze skupieniem wsłuchiwały się w dalekie odgłosy, może w odgłosy odeszłych cieniów...

(d. c. n.) *Jan Zarycz.*

Przegląd miesięczny.

UPIORY w WARSZAWIE.

Ibsen i Wagner są dla sceny Warszawskiej jako kwiaty, laury i cyprysy, kamelie, tuje, wypożyczone na wielkie uroczystości, kwiaty w donicach, które po festynie wesołym czy żałobnym — powracają do ogrodnika. Są to wynajęci goście, goście uroczy, ale dla których jesteśmy za biedni i za maluczcy duchem, żeby ich módz zatrzymać, za zimni, żeby ich hodować u siebie, za płytcy, żeby w nich widzieć coś więcej niż przelotną ozdobę.

Więc i Wagner i Ibsen, choć tak często do nas sprowadzani, są nam obcy, za trudni i za wysocy na leniwe oczy, które tak trudno w pełzaniu po ziemi podnosić aż do takiej wyżyny.

I „Upiory" świeżo wystawione na scenie warszawskiej, na to nie pomogą. Posępny ciężar tego dramatu dziedzictwa przyjmie się może na kilka tygodni — dziennikarze wydobędą z niego to, co pieprzne, ostre, ową niby tendencyę, niby tezę — rozgadają się na temat idej społecznych, zasymulują rozum i rozumienie Ibsena.

A tu trzebaby koniecznie wspiąć się na jakiś bodaj średniej wysokości wirch, żeby ogarnąć duchową dziedzinę norweskiego poety.

Ibsen, to nie jakieś pikantne sensy moralne, to wielki nieartystyczny zgrzytliwy artysta, który napina cięciwę swego geniuszu nie żeby uderzyć w wązki cel na tarczy, lecz żeby ugodzić w egipskie piramidy fałszu i obłudy. To nie misterny budowniczy, który chce zakończyć altankę lub wdzięczny pawilon efektownym ornamencikiem. Jest zawsze i wszędzie cały nabrzemieniony myślą, cierpkością, goryczą, ironią. Z perfidią i dyalektyką Sokratesa tka swoje niepozorne symbole o dzikiej kaczce, o podporach spo-

łeczeństwa, o zatrutych źródłach kąpielowych, jakgdyby szło tylko o nie, o te różne drobnych bohaterów drobnych miast dramata — a tymczasem zawsze i wszędzie jest Brandem, patrzącym, gdy jest sam, w oczy Bóstwu, a gdy z ludźmi — to w ślepie ludzkości. Ma minę, jakgdyby przejeżdżał się po szafirowym malutkim fiordzie, a przepływa ocean Północny i dąży do Wielkiego Nietzschejskiego Południa ludzkości.

Trzeba stanąć na wysokich turniach, turniach sztuki wszechludzkiej i intensywnej treściowo, ażeby módz śledzić te obszary, które on przemierza.

I w „Upiorach", w tych zmorach i widmach przeszłości, w tych fantomach dawnych ciężkich grzechów, tkwi coś więcej niż fatum pokuty syna za ojca. To pokutuje pokolenie za pokolenie, teraźniejszość za przeszłość, zdrowy na pozór kłos za chore ziarno. Słońce, które traci dusza młodego Alvinga, to słońce, które traci ludzkość, społeczeństwo nasze, mieszczańskie społeczeństwo, za swoje grzechy; obłęd, który go chwyta, to obłęd i zamęt chroniczny po chorobach kłamstwa i obłudy.

Dramaty Ibsena grzmią rezonansem ogromnym. W intrydze, sytuacyach spojonych kunsztownie mnóstwem wiązadeł i starannym rysunkiem charakterystycznym figur, ażeby symboliczna powłoka się nie rozpadła i nie wylazły na scenę morały, ogólne idee dedukcye, gorzka filozofia i proza — zamiast gorzkiej, ale plastycznej sztuki — występują osoby wielkiej doniosłości i wielkiego promienia działania.

W „Upiorach" spodobała się śmiałość, dosadność, realizm, wysypka na czole, Zolowskie echa, fizyologia medyczna, zuchwalstwo uczynienia heroiną rzeczy, która jest zazwyczaj tylko bohaterem sekretnych klinik.

Byłoby dobrze, żeby krytycy teatralni zamiast widzieć w nich tylko walkę z syfilizacyą, czuli nieco i walkę z cywilizacyą.

Ale cóż, kiedy u nas specyalistą i reprezentantem od Ibsena, jest mianowany przez pana Rabskiego pan Rabski. (Byłoby dobrze, ażeby ze swym niezaprzeczonym talentem publicystycznym, był bardziej wielostronnym). Ano, mógł p. Gawalewicz pisać słodkie sztuki na temat Lionarda da Vinci, więc może p. Rabski klepać po ramieniu starego Ibsena i pisać o nim artykuły, w których na jedno skromne słowo „Ibsen", wypada sto razy zdeklinowane przez wszystkie przypadki „ja" autora. Lionarda „zgawalewizowanego" — wart Ibsen... zrabszczony.

Ecce urbs!

Z. J.

RYSZARD STRAUSS i „SYMPHONIA DOMESTICA".

Wielkie wieczory piątkowe Filharmonia rozpoczęła najnowszą symfonią Ryszarda Straussa, pod osobistą dyrekcyą kompozytora.

Przeceniany i niedoceniany — epigon Wagnera — trochę spadkobierca Liszta, nie-

co kabotyn, wielki kapelmistrz, wyrafinowany wirtuoz bez natchnienia i szerokiej tematyczności.

Jest dość trudno zoryentować się w nawale sprzecznych wrażeń, które budził ten ciekawy artysta. Brał pomysły wielkie — Zaratustrę, Śmierć i Wyzwolenie, Sowizdrzała i olśniewał, nie zachwycając i nie porywając. Jestto — zdawało się — fosforescencya genialności, ale tylko fosforescencya, bez istoty i bez treściowego fundamentu geniuszu. Mistrz w instrumentacyi, nieulękłej fantazyi i samowoli w zażywaniu efektów siły. Słuchało się go z zaciekawieniem i napięciem, ale w sensie nadziei, że oto przyjdzie ów wielki frazes, z najgłębszej pełni płynący, a frazes nie przychodził — zamiast niego często przychodziły blachy i ogłuszający zgiełk.

Jednak to wszystko ma swój styl – charakterystyczno groteskowy, nie ma pełnobrzmiących ogarniających tematów — bo te jakgdyby się z Wagnerem wyczerpały i jakgdyby wielka kopalnia dyamentów naraz wyeksploatowana została przez jednego wielkiego kopacza — ale jest instrumentacya, nadająca kolor migotliwy jakichś tkanin indyjskich i jest snucie potężnej, nieskończonej arabeski. Tu panuje raczej wolna linia niż zamknięty i celowy kontur, jakby wątek z poszarpanych kresek potężnej akwaforty z jej samorzutnem a subtelnem rozlewaniem się i nabarwianiem tła charakterystycznym, ciepłym tonem. Jestto muzyka, przypominająca czasem wściekłe graficzne rzeczy, jakichś Weberów, ich karykaturę lalko-bab, groteskowo brutalne sceny z ludu, jakby wzięte na żarty i z oddali z Ostadych i Teniersów, — ale i ich czarowną nieraz poezyę baśniową świetnych, w gwiaździste płaszcze odzianych księżniczek, rozmawiających w lesie z zieloną żabką, która wychyla ze mchu swój drobny łebek o czarnozłotych oczach (w Muzeum Luksemburskiem).

„Symphonia domestica“ jakgdyby zebrała wszystkie te zdolności i cechy, skupiła je, zwarła i uporządkowała. Dotąd przy zamachu na tematy wielkie bezład — tu, przy temacie skromnym, poufnym, przy temacie niby jakiegoś „Dzwonu“ Szyllerowskiego lub Szumanowskiego „Frauenliebe und Leben“ — ogromna zwartość, powaga i prostota, zacięta wprost planowość, miękkość i słodycz i rozwijanie się stopniowe w motywy coraz mocniejsze i szersze.

Wielka umiejętność i wielkie opanowanie siebie i powściąganie chaotycznych instynktów — pod batutą cudownie prowadzącą, trzymają na uwięzi uwagę i dają uczucie podniosłej rozkoszy – że oto patrzy się na dzieło nowonarodzone, świeże, żywe żywego człowieka, tu oto przed nami stojącego — i że dzieło to jest tak doniosłe i monumentalne.

Jeśli Ryszard Strauss jest wrażliwy na zewnętrzne objawy hołdu — to z pewnością najbardziej musi być wdzięcznym za to, że Filharmonia na numer pierwszy wybrała „Króla Leara“, poemat symfoniczny nie mniej słynnego dyrektora berlińskiego Weingartnera, — „Symphonia domestica“ olbrzymio zyskała na tle tego utworu, w którym brak natchnienia i szczero-muzycznej duszy, wyraża się aż w formie tematów wręcz brzydkich lub męcząco obojętnych.

Florestan

BIBLIOGRAFIA.

NOWE KSIĄŻKI.

Marya Konopnicka. „Na normandzkim brzegu". — Warszawa. Nakładem Gebethnera i Wolffa, 1904.

Marya Konopnicka. „Poezye w nowym układzie. Przekłady." Warszawa. Gebethner i Wolff. 1904.

Henryk Sienkiewicz. „Pisma". Tom LXIV — LXX.

Jan Lemański. „Proza ironiczna". Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1904.

Wacław Sieroszewski. „Powrót". Powieść z życia wschodniej Syberyi. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1904.

Wacław Nałkowski. „Bojownik". Fantazya. Warszawa. Stefan Demby. 1904.

Jan Augustynowicz. „W pryzmacie". Warszawa. 1905. Nakład księgarni G. Centnerszwera S-ki.

Antoni Miller. „Trzy cmentarze". Warszawa. 1905. Jan Fiszer.

Adam Stodor. „Adoracya". Poezye. Stanisławów. Nakładem A. Staudachrea i S-ki. Warszawa. Jan Fiszer. 1905.

Prof. Ryszard Muther. »Historya malarstwa". III i IV. Przełożył Stanisław Wyrzykowski. Warszawa. Nakładem Jana Fiszera.

H. G. Wells. „Wizye przyszłości". Spolszczył Jan Kleczyński. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1904. Dodatek do Tygodnika Illustrowanego.

Michał Tyszkiewicz. „Idea demokratyczna i jej krytycy w Rzeczypospolitej". Uwagi i notatki. Kraków. Nakładem autora. 1904.

Andrzej Carnegie. „Państwo interesu". Przełożył S. Barszczewski. Dodatek dla prenumeratorów Tygodnika Illustrowanego.

Dr. A. Combe. „Nerwowość u dzieci“. Cztery odczyty. Przełożył Henryk Nussbaum. Dodatek do Tygodnika Illustrowanego.

Michał Rawita-Witanowski. „Kłodawa i jej okolice pod względem historyczno-ludoznawczym“. Warszawa. Wydanie z udziałem Kasy pomocy imienia d-ra Józefa Mianowskiego. 1905.

Wacław Nałkowski. „Dookoła Alp“. Księgarnia Naukowa. Warszawa. 1904.

Lili Braun. „Historya rozwoju ruchu kobiecego.“ Podług oryginału opracowała i uzupełniła J. Oksza. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa.

OGŁOSZENIA

OGŁOSZENIA

Adres. telegr.: **Puls—Warszawa.**

ROK ZAŁOŻENIA 1852.

AKCYJNE TOWARZYSTWO

Warszawskiej Fabryki Perfum

Fryderyk PULS

w Warszawie.

POLECA:

PERFUMY Exquis, Wedgwood, Orchidée, Viola Nostra, Marie Antoinette.

MYDŁA Wedgwood, Moderne, Viola Nostra, Marie Antoinette, Peau d'Espagne.

WODY KOLOŃSKIE Royale, Holenderska, du Monde élégant.

Fabryka nagrodzona licznymi medalami na wystawach krajowych i zagranicznych i **DYPLOMEM HONOROWYM** na Wystawie Przyrodniczo-Lekarskiej w Krakowie.

WYROBY PULSA DOSTAĆ MOŻNA WSZĘDZIE W LEPSZYCH PERFUMERYACH i SKŁADACH MATERYAŁÓW APTECZNYCH.

Skład Główny: Plac Teatralny Nr. 11.

Filia: Nowy Świat Nr. 41.

M. Mankielewicz.

Egzystująca od roku 1824.

FABRYKA

Wyrobów Platerowanych i Srebrnych 84 próby

Józefa Fraget

w Warszawie, ulica Elektoralna Nr. 16.

Własne **MAGAZYNY** znajdują się:

w WARSZAWIE

Wierzbowa, dom dochodowy Teatrów Warsz.

Nalewki 16.

Marszałkowska 150.
BOGUSŁAW
HERSE
STROJE
SUKNIE
KOSTYUMY
OKRYCIA
FUTRA
NOWOŚCI
KORONKI
WSTĄŻKI
JEDWABIE
WEŁNY

Rok istnienia II-gi

Ateneum

Pismo poświęcone literaturze i sztuce w najszerszym zakresie — obejmuje te sprawy i zagadnienia umysłowe, naukowo-filozoficzne i społeczne, które mają związek ze sferą piękna, wiążą się z twórczością ideową wogóle, zarówno polską jak wszechludzką, oraz wyższym rozwojem duchowym i kulturalnym.

wychodzi miesięcznie

przy głównym współudziale

Cezarego Jellenty.

Warunki prenumeraty:

W Warszawie:		Z przesyłką pocztową:	
rocznie	9 rb. — kop.	rocznie	10 rb. — kop.
półrocznie	4 „ 50 „	półrocznie	5 „ — „
kwartalnie	2 „ 25 „	kwartalnie	2 „ 50 „

Cena zeszytu pojedyńczego rb. 1.

Ogłoszenia:

W końcu zeszytu: cała stronica 20 rb. — kop.
pół stronicy 12 „ — „
ćwierć „ 7 „ 50 „

Na początku zeszytu dwa razy drożej, na okładce trzy razy drożej.

CZCIONKAMI I TŁOCZNIĄ DRUKARNI
PIOTRA LASKAUERA I S-KI.

REDAKTOR I WYDAWCA
EMIL WAYDEL.

62.667
4 D 571
1961
20

ATENEUM zamieszcza

Studya literackie, artystyczne i filozoficzno-estetyczne, mające za przedmiot wybitne dzieła, autorów, kierunki artystyczne i zagadnienia piękna i twórczości.

Utwory powieściowe.

Utwory dramatyczne.

Poezye prozą i wierszem.

Krytykę najświeższych publikacyj z dziedziny piśmiennictwa i umiejętności.

Kronikę i krytykę wybitnych objawów w dziedzinie muzyki, wszystkich działów sztuki plastycznej i życia artystycznego.

Przegląd i roztrząsanie spraw życia zbiorowego i duchowego, mających wyższe znaczenie społeczne i cywilizacyjne.

Reprodukcye obrazów i rzeźb znakomitych plastyków.

W roku 1903 Ateneum drukowało między innemi prace następujących autorów polskich:

Adamowicza, Arnsztajnowej, Barbanella, Breszla, Chmielowskiego, Choromańskiego, Jabłczyńskiego, Jellenty, Kisielewskiego, Kleczyńskiego, Langego, Lorentowicza, Makowskiego, Marcinowskiej, Micińskiego, Nałkowskiego, Nowaczyńskiego, Perzyńskiego, Pieńkowskiego, Radlińskiego, Wł. Sterlinga, Kaz. Tetmajera, Tristisa, Wodzińskiego, Wac. Wolskiego, Zarycza, Zbrowskiego, Żuławskiego.

Z pomiędzy autorów innych narodowości między innymi:

Andrejewa, Czechowa, Dehmla, Gilkina, Hofmansthala, Klingsora, Laforgue'a, Maeterlincka, Momberta, Nietzschego, Rénarda, Wilde'a.